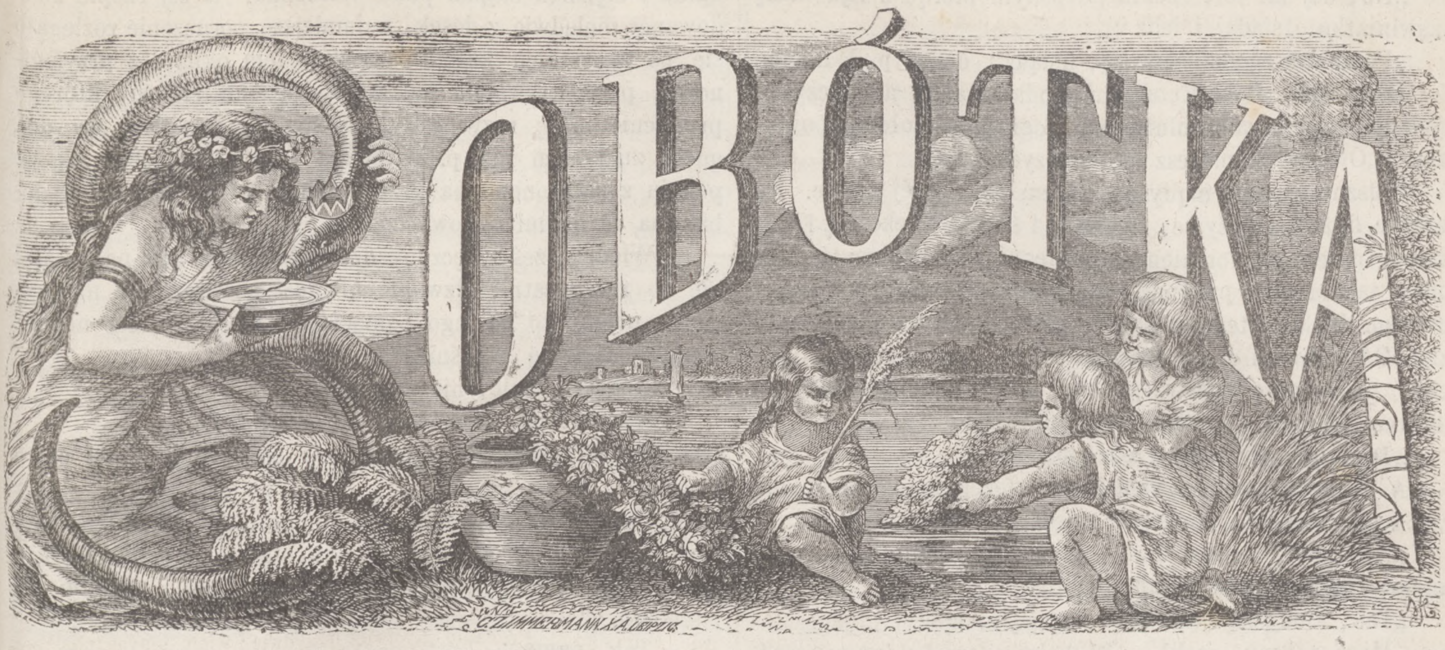
Nr. 40. Poznań, dnia 30. Września 1871. Rok III.




TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo $1^1/_2$ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

## OD WYDAWNICTWA.

Z dniem pierwszym Października r. b. Sobótka rozpocznie czwarty kwartał trzeciego roku istnienia. Przypominamy naszym abonentom o odnowieniu prenumeraty, którą przyjmują wszystkie księgarnie i król. pruskie urzędy pocztowe.

# HISTORYA
## NAUCZYCIELA SZKÓŁKI WIEJSKIÉJ

przez

**Erckmann-Chatrian.**

(Tłomaczenie z francuzkiego.)

(Ciąg dalszy.)

Pan Wilhelm ze szlafmycą na głowie, odprowadził proboszcza aż na dół schodów. Żona nauczyciela, wysoka i chuda, z żółtą i pomarszczoną twarzą, nic nie mówiąc patrzyła na mnie ciekawie.

„Czy z daleka przybywasz?“ spytał się nauczyciel wchodząc.

„Z Saint-Nicolas, panie.“

„Czyś już był pomocnikiem nauczyciela?“

„Nie, pracowałem jako nadetatowy przy woźnym.“

„A! to znasz zapewne kanonika z Briqueville?“

„Ojciec mój go zna; obaj są z téj saméj wsi.“

„Rozumiem... rozumiem...“ odrzekł rzucając znaczące spojrzenie na żonę. „Czy ci ksiądz proboszcz mówił o warunkach?“

„Nic mi nie mówił.“

„Będziesz miał życie, mieszkanie, opranie i pięć franków na miesiąc. Co do obowiązków, będziesz dzwonił na mszę, co poniedziałek zamieciesz kościół i zakrystyę i codzień pomagać mi będziesz w szkole; wszystko musi być czyste i regularnie spełnisz to co ci powiem...“

„Ach! mój Boże, Wilhelmie“, krzyknęła żona, „przecie widzisz, że biedny chłopiec na wszystko się zgadza.“

„To dobrze, to dobrze, ale trzeba się wprzód porozumieć. Czy się zgadzasz?“

Czując apetyt budzący się, spoglądałem na dymiące się kartofle i mleko z chciwością.

„Będę robił wszystko co mi pan każe. Chcę tylko zarobić na życie, nauczyć się czegoś i zadowolnić państwo.“

Wiek mój, wyraz pokorny, upewniły ich; nie obawiali się że chcę ich z miejsca wysadzić i w téj nadziei wrócili do dobrego humoru.

„No, daj mi to“, rzekła gospodyni biorąc z rąk laskę i zawiniątko, „siadaj i jedz.“

„Ponieważ zgodziliśmy się, usiądź“, dodał p. Wilhelm.

Usiadłem. Pani Katarzyna podała talerz a nauczyciel wyciągnąwszy z zadowolnieniem nogi pod stołem, powiedział: „Oto masz, możesz się uraczyć!“

Słusznie mówił, nigdy nie byłem na lepszéj uczcie. Te kartofle duże i mączyste, to tłuste i świeże mleko, są i dziś jeszcze miłem wspomnieniem. Ale nie pozwoliłem jednak sobie, tak jakbym pragnął. Jedliśmy z jednéj misy, i wysuwałem łyżkę wtenczas tylko, kiedy kolej na mnie przyszła. Zdawało mi się że wszystko było bardzo drogie, i jeżeliby gospodarze spostrzegli mój apetyt, wypędziliby mię wkrótce. Z tych przyczyn wstrzymywałem się.

„Jedz, nie bój się“, rzekł gospodarz.

A żona na to odpowiedziała: „Jeżeli nie głodny, nie trzeba go zmuszać. Zapewne zmęczony być musisz?“

„Ach pani, jestem bardzo zmęczony. Wyszedłem nad ranem; i przez dzień 6 mil uszedłem.“

„Tak, kiedy się jest zmęczonym, to apetyt mija.“

„Masz racyę“, rzekł p. Wilhelm, „trzeba już spocząć. Katarzyno, zaprowadź go do pokoju na górę.“

Pani Katarzyna wzięła moje zawiniątko i laskę, ja kulejąc szedłem za nią, kiedy nagle pan Wilhelm zawołał: „He! niechże wiem jak na imię memu pomocnikowi. Jak się nazywasz?“

„Nazywam się Jan Baptyst Renaud.“

„Dobrze! dobranoc Janie Baptyście; jutro o szóstéj godzinie rozpoczniemy.“

„Obudzę ciebie“, dodała żona, „szkoła rozpoczyna się o godzinie siódméj.“

Weszliśmy na schody a następnie do małego pod strychem pokoiku. W dachu były dwa szklane otwory, jeden na dolinę, drugi na ponure góry. Na prawo stało łóżko powleczone czystem prześcieradłem i pierzyna w niebieskie kraty według zwyczaju w Wogezach. Krzyż i małe jak dłoń lusterko, wisiały na ścianie.

„Oto“, rzekła pani Katarzyna, „pokój pomocnika nauczyciela; przeszły, Filip, uciekł, nie chciał zostać; ale ty, mam nadzieję więcéj będziesz miał odwagi i rozsądku.“

Postawiła lampę na podłodze i odchodząc kazała pamiętać o jéj zgaszeniu. W jednéj chwili się rozebrałem, zgasiłem światło i upadłem w sen głęboki. Na sercu mi było lekko, bo miałem miejsce, które uwalniało rodziców od wielkiego ciężaru!

## II.

Nazajutrz, jeszcze przed wschodem słońca, usłyszałem ciężkie stąpanie na schodach, i za chwilę pani Katarzyna zawołała: „Janie Baptyście!... Janie Baptyście!...“

Rozbudziłem się.

„Czas już“, rzekła stawiając na schodach misę z wodą do mycia, „wstawaj.“

Nim zeszła na dół, byłem już na nogach.

Ranna mgła wznosiła się aż do okien mego poddasza. Drżąc od zimna umyłem twarz i ręce i w kilka chwil byłem już ubrany. Z dołu dochodziły echa trzaskającego ognia i ciężkich stąpań pana Wilhelma. W téj szopie zbudowanéj nieledwie z desek, najmniejsze poruszenie rozlegało się po wszystkich kątach. Otworzyłem okno i z przyjemnością przypatrywałem się wschodzącemu słońcu, którego promienie mgłę rozwiewały. Następnie zszedłem na dół, gdzie znalazłem już p. Wilhelma przechadzającego się po pokoju z założonemi na krzyż rękami. Oddałem dzień dobry, na co on mi odpowiedział:

„Wiedząc żeś zmęczony dzwoniłem dziś sam na szkołę; ale to raz ostatni; dzwonić nie jest obowiązkiem nauczyciela, należy to do jego pomocnika; na przyszłość musisz wstawać godzinę wcześniéj.“

„Dobrze, panie, nie zapomnę.“

„No, to teraz pomówmy o czém inném.“

Po tych słowach wyprostował się i spojrzał mi ostro w oczy.

„Umiesz czytać i pisać, to dobrze, ale chciałbym wiedzieć czy piszesz kursywem, odwrotnemi literami i gotykiem? Czy piszesz także nietylko charakterem wielkim ale i średnim?“

„Tak, panie.“

„Tak, każdy może powiedzieć tak, to bardzo łatwo; ale muszę to własnemi oczami sprawdzić. A czy umiesz cztery reguły arytmetyczne?“

Już nie śmiałem odpowiedzieć.

„A ułamki“, mówił daléj głos podnosząc, „czy wiesz co o ułamkach?“

Sposób w jaki p. Wilhelm się pytał, kazał mi wnosić, iż uważał ułamki za coś nadzwyczaj trudnego. Dla mnie ta część arytmetyki była dobrze znaną, ale strach mię ogarnął i nieśmiało spuściłem oczy.

„Muszę się o tém wszystkiem przekonać“, mówił chodząc po pokoju. „Co do ułamków, nie wymagam ażeby pomocnik nauczyciela je umiał — niejeden nawet nauczyciel w wielkim jest ambarasie kiedy musi pomnożyć dwie trzecie przez cztery piąte... Tak... jest to rzecz bardzo ważna... na to trzeba przejść gruntowną naukę. Od ciebie żądam tylko dobréj kaligrafii we wszystkich rodzajach. Zrób dwa przykłady i pokaż mi.“

Pytał się jeszcze czy mierzenie powierzchni, wyciąganie łańcucha i zatykanie tyczek jest mi znane. Następnie pani Katarzyna w spodnicy i z rękawami zakasanemi wniosła misę z zupą kartoflaną: mléko, tarte kartofle, trochę masła sól i chléb w kawałki pokrajany, oto skład téj wybornéj zupy, któréj zapach aż głowę mi zawracał.

Siedliśmy do stołu — apetyt służył wszystkim. Rozlegające się echo drewnianych trzewików, oznajmiało iż ławki szkolne zapełniały się uczniami.

Jedząc, mówił p. Wilhelm, iż wierzy w moją znajomość pisania kursywem, odwrótkami i gotykiem, ale że to wszystko nie wystarcza, i że dobry pomocnik nauczyciela musi wzbudzać poszanowanie, że od wiosny dla braku ręki silnéj dwóch się pomocników zmieniło.

„Trzeba ci wiedzieć“, ciągnął daléj, „że dzieci w téj okolicy nie są warte dwóch groszy, że są latawce, próżniaki, czyhający na jaja w gniazdach, oszusty, że mają wszystkie wady swoich rodziców, którzyby nigdy ich do szkoły nie-

posyłali, jeżeliby nie musiały odbyć pierwszéj komunii, bez któréj do żadnego zawodu przyjęte być nie mogą. Jeżeliby nie byli zmuszeni nauczyć się religii, nauczyciel i jego pomocnik zgłodu by poumierali!. Tylko mus nauczenia się katechizmu, poddaje ich pod naszą władzę. Utrzymuje się porządek i posłuszeństwo przy pomocy bata. Patrz oto z tyłu za zegarem leży pęk trzciny; zużywam na ich plecach dwa takie na rok. Jeżeliby który z nich okazał ci brak uszanowania, przedrażniał, śmiał się i innych do śmiechu pobudzał, bij i bij po skórze!... bij aż nim płakać nie zacznie i aż nim inni nie uznają, iż ty to nie Jakób ani Filip; ale prawdziwy pomocnik! Wtenczas szanować cię będą i wtenczas jedno spojrzenie wystarczy, ażeby wszystko w porządku było. Czy rozumiesz?“

„Rozumiem Panie!“

„To dobrze! teraz więc zejdzmy... sala już pełna. Weź trzcinkę, bo każdy z nas musi mieć swoją.“

To mówiąc sam się zabrał do wybrania najmocniejszéj; po czém zeszliśmy do sali. Całe życie przed oczyma stać mi będzie to miejsce przepełnione dziećmi. W środku stały ławki przeznaczone dla malców, których p. Wilhelm nazywał „małemi kotami“, w koło zaś czworograniaste stoły dla starszych. Dzieci były rozczochrane, odzienie podarte, jedni boso, inni w drewnianych trzewikach — wszystko to zbliżało je do stanu dzikiego. Żaden jestem pewny, nie mył się od miesiąca.

W chwili wejścia, odgłos kłótni, wybuchy śmiechu i bójek wstrząsały starym domem, ale zaledwie p. Wilhelm klamki się dotknął, wszyscy zmilkli; muchę można było usłyszeć. We drzwiach p. Wilhelm na parę sekund się zatrzymał; wszyscy pochyleni nad książką siedzieli na swoich miejscach. Pomimo tego, śmielsi drapiąc się jak małpy, z ciekawością na mnie z pod oka spoglądali.

Pan Wilhelm wolno wszedł do sali i na jéj środku zwracając się do mnie rzekł: „Panie Janie Baptyście, zbliż się!... A wy słuchajcie tego co wam powiem: — Oto nowy pomocnik! Inny on jest jak przeszły, ale z tego rodzaju nicponiami i próżniakami jak wy, łagodnością nic się nie zdobędzie. Wybrałem téż umyślnie dla was, dobrego pomocnika. Będziecie z niego zadowolnieni... To tylko wam powiem: kto nie wypełni swych obowiązków... niech się strzeże!... strzeże!...“

Po téj przemowie, nauczyciel siadł na katedrze i temperował pióra. Ja przechadzałem się po sali, rewidując tabliczki szyfrowe. Po kwadransie wzięto się do sylabizowania B A, BA. Pan Wilhelm dał mi znak, żebym zasiadł na katedrze i napisał na próbę dwa przykłady. Zdawało mi się iż jest zodowolniony, rzekł mi bowiem: „To dobrze... jakoś to będzie!...“

Następnie dając znak malcom ażeby się uciszyli, kazał mi wyegzaminować z katechizmu klasę pierwszą. Kiedy się zbliżyłem, jeden z tych urwiszów, z czarnemi kędzierzawemi włosami, z twarzą ogorzałą, zwolna nos sobie ucierał.

„Wstań!“ rzekłem.

Ale on spuścił głowę i jakby na mnie nie zważając, wciąż tonem klarynetu dmuchał w chustkę.

„Wstań!“ rzekłem raz jeszcze.

I na to powtórne wezwanie nie zważał, tak że cała klasa głośnym wybuchnęła śmiechem. Uwagi poprzednie nauczyciela stanęły mi na pamjęci, uderzyłem więc malca niezbyt silnie, co jednak wywołało krzyk przeraźliwy.

Pan Wilhelm widział to i nagle z twarzą zagniewaną zerwał się i silnie po plecach chłopca uderzył.

„A! krzyczysz... krzyczysz... Dobrze... zaraz ci dam powód do krzyku.

Znowu uderzenia powtarzały się, aż nim chłopiec nie zawiesił się bezwładny na stole.

Inni widząc to, siedzieli jak mruki, a włosy stanęły im ze strachu na głowie. (C. d. n.)

---

### Rozdział z tomu piątego

# HISTORYI POWSTANIA NARODU POLSKIEGO 1861—1864

przez

### Agatona Gillera.

## Wypadki Lutowe.

(Ciąg dalszy.)

Obrady w sprawie włościańskiéj zakończyły się jednomyślnem przyjęciem trzech poprawek postawionych do wniosków Komitetu, mianowicie: poprawki Dyonizego Skarzyńskiego, aby operacya oczynszowania była od razu połączona ze skupem, czyli odrazu włościanie doprowadzeni do uwłaszczenia; poprawki A. Jackowskiego, aby w konkluzyi trzeciéj zamiast wyrazu operacya kredytowa, był położony wyraz instytucya i aby Zgromadzenie natychmiast wybrało komisyą do wypracowania projektu do takiéj instytucyi; i wreszcie przyjęciem poprawki Tomasza Potockiego, aby kapitał czynsz reprezentujący był rachowany jako przynoszący szósty procent, czyli, ażeby $^1/_5$ kapitału włościanom darować. Wybrano przytém delegacyą złożoną z Tomasza Potockiego, Jackowskiego Aleksandra, Wojciechowskiego Tytusa, Cieszkowskiego Augusta, Węglińskiego Wojciecha, Bryndzy Aleksandra, Krzyżtoporskiego Klemensa, Wrotnowskiego Antoniego i Kronenberga Leopolda, i polecono jéj zająć się obmyśleniem środków, ułożeniem projektu instytucyi kredytowéj do przeprowadzenia wykupu własności dla włościan i takowy rządowi do zatwierdzenia przedstawić.

Pospiech więc nie w oczynszowaniu lecz w uwłaszczeniu uznano za potrzebę krajową i wzięto się zaraz do wykonania, lecz co najpiękniejsze, to postanowienie szlachty zrzeczenia się znacznéj części majątków swoich na rzecz wło-

ścian. Uchwały te nie sięgały tak daleko, jak wymagania czasu przez nas wyżéj wspomniane, były one jednak wielkiéj doniosłości, okazując dobitnie, że kraj pożąda uwłaszczenia, a szlachta ofiarnością swoją chętnie przyczynić się pragnie do odbudowania spółeczeństwa na zasadzie obywatelstwa wiejskiego ludu. Wrażenie tych uchwał było niezmierne. Każdy uczuł, że naród stanął na gruncie sprawiedliwości, że pochwycił sposoby zagładzenia krzywd i nierówności, które pętały Polskę, utrudniały odrodzenie robiąc ją łatwym łupem dla sąsiadów.

Dziejowego znaczenia uchwały 24 Lutego podniosły bardzo ducha publicznego. Spostrzedz się to już dało na poniedziałkowém (25 Lutego) posiedzeniu, które było równie gromadném jak poprzednie, bo przeszło tysiąc obecnych liczyło. Pomimo rosnącego zapału obywatele w dniu tym nie utracili spokoju, jaki bywa cechą dojrzałości. Zgromadzenie jeszcze się nie rozeszło, trybuna była zajęta, gdy dał się słyszeć głos: „My tutaj spokojnie siedzimy i obradujemy, kiedy na Starém mieście krew braci się leje!“ Słowa te Mikołaja Epszteina przeszyły serca jakby ostrzem żelaza. Ktoś zawołał: „Gińmy razem“ i wszyscy się podnieśli ku wyjściu z sali. Muchanów niespokojnie obejrzał się w około — gdy Andrzej Zamojski poważny, jak zawsze niezmieniony, zatrzymał ręką chcących wychodzić i rzekł: „Obowiązkiem naszym tutaj pozostać.“

Posiedzenie odbywało się daléj i dopiero o godzinie 8 wieczorem zamknięte zostało. Obradujący przy wyjściu z sali, zastali na pałacowym dziedzińcu kompanią piechoty pod bronią. W piwnicach zaś pałacowych umieszczonych było kilkudziesięciu żołnierzy. Mieli oni pozór, jakby zostali wezwani dla zasłonięcia Towarzystwa od agitatorów, którzy zamierzali w kroczyć na salę; w rzeczy saméj byli zebrani dla rozpędzenia obywateli, w razie, gdyby się dały pomiędzy nimi słyszeć mowy rewolucyjne.

Na ulicach było ciemno; patrole przebiegały miasto; przechodnie szybkim krokiem zdążali do domów; czuć i widać było, że się coś stało; każdy zaś niespokojnie pytał, co się stało na Starem mieście? Na Starem mieście było także cicho — w nocy śladów krwi dostrzedz nie można, a płynęła tam krew, która ma moc poruszenia dusz.

Mówiliśmy, że młodzież Szkoły Sztuk Pięknych, postanowiła uroczyściéj obchodzić rocznicę bitwy Grochowskiéj, niż dzień Listopadowy, a spodziewała się, że nowa manifestacya będzie ważniejszą i liczniejszą niż poprzednia, ludność bowiem już się wyzuła ze strachu i okazywała coraz śmieléj polskie uczucia. Zamiaru swego nie chowali w tajemnicy, wszyscy o nim wiedzieli. Starsi starali się skłonić ich do zaniechania manifestacyi, uważając ją za zbyteczną i szkodliwą. Dla wątpliwego skutku, mówili, nie godzi się przeszkadzać pracom najniewątpliwiéj użytecznym i narodowym, jakiemi są uwłaszczenie i oświecenie włościan przez Towarzystwo Rólnicze podjęte. Namowy jednak i przekonywania nie pomagały. Młodzież albo nie słuchała co do niéj mówiono, albo nie umiejąc wytłumaczyć myśli swoich, uśmiechała się ironicznie, gdy jéj przedstawiano niepodobieństwo udania się walki, jaką rozpoczynała. Mieli oni jeden tylky argument, a raczéj zarzut do odpowiedzi. Kto nie tak myślał jak oni, nazywali go białym i gdy kogo tak nazwali, zdawało się im, że już samem przezwiskiem w nicość obrócili najmędrsze przeciwników wywody. Projektowali zrobić manifestacyą, lecz w sekrecie mówili o rewolucyi. Zdawało się im, że przez manafestacyą wywołają zamięszanie, ktore się zamieni na bitwę. Z odezwy jaką wydrukowali, zapowiadając obchód grochowski, jasnem jest, że myśleli już o powstaniu, do którego jednak nic nie przygotowali i środków nie obmyślili. Nie mieli planu, zasad i sposobów wykonania, „dosyć ciąć pałaszem“, pisali, a padnie 'potężne carstwo.“ Wszystko się miało samo zrobić i samo ułożyć. Byle dać popęd, byle rozpocząć, to reszta już jakoś pójdzie. Trudno sobie wyobrazić większą polityczną naiwność. Przyszli artyści chcieli zaimprowizować rewolucyą jak się improwizuje poemat, obraz lub inne dzieło sztuki. Popychali naród na drogę, któréj sami niewidzieli, ani nawet nie przeczuwali. Rad nie przyjmowali, rozumowanie było im wstrętne, szli niesieni uczuciem, a ponieważ było to uczucie zrodzone z krzywdy, jaką najezdnicy Polsce wyrządzili; ponieważ rozwijały je krew, łzy i boleści narodowe, ponieważ zwracało się przeciwko tyranii i zaborom, więc było uczuciem świętem, sprawiedliwém, piękném — i dzieło nierozważne rozumowéj prostoty oddało pod oko Opatrzności, która poprawiała to co źle było robionem.

Pierwotnie chcieli w wielkiéj procesyi wyjść z Warszawy na pola bitwy Grochowskiéj za Pragę i tam odbyć nabożeństwo; lecz, gdy się dowiedzieli, że Gorczaków polecił w tym dniu wysłać wojsko na to pole, zmienili plan. Procesya z kościoła popaulińskiego z chorągwiami narodowemi miała przejść przez Stare miasto, Krakowskie przedmieście, Nowy świat aż do Trzech krzyży. Po przybyciu zaś deputacyi uczniów z rosyjskich uniwersytetów i po napróżnem jéj staraniu o podanie adresu do cara w celu wyjednania pozwolenia na założenie uniwerstytów i szkół polskich, postanowiono procesyą zatrzymać przed pałacem namiestnikowskim, wejść z chorągwiami narodowemi na salę w czasie posiedzenia, podziękować Towarzystwu za uchwałę o uwłaszczeniu włościan, zażądać upomnienia się o szkoły i zaprosić do udziału w manifestacyi. Dodatkowe to postanowienie sprowadzić mogło smutne następstwa. Gdyby procesya weszła na salę i została życzliwie przyjętą przez Zgromadzenie — Towarzystwo nieposiadające żadnych elementów rewolucyjnego kierownictwa, stanąćby musiało na czele powstańczego poruszenia, gdyż starcie prędkie i stanowcze byłoby nieuniknionem. Starcie takie pożądane w razie dokładnego przygotowania umysłów i środków materyalnych, w owym czasie nieprzedstawiało nadziei pomyślnego końca. Ruch zostałby w zarodku stłumiony. W razie zaś nieprzyjęcia procesyi i odprawienia jéj z niczém, rozdzielenie się społeczeństwa na dwie nieprzyjazne, w istotnéj walce zostające z sobą partye, ubezwładniłoby w samym początku ruch, którego cała powaga, siła i znaczenie zależało od zgody i jedności. Rząd kniazia Gorczakowa nie przewidywał żadnego z wypadków, jakieby nastąpić musiały z publicznego porozumiewania się agitatorów z Towarzystwem, a postanowiwszy przemocą zgnieść manifestacyą, nie przypuszczał, iż niechętni ruchowi, dla tego z jego prądem złączyć się będą

musieli, iż żaden uczciwy Polak, odkąd polityka narodowa toczy się w kolei godności, nie może bez obrazy sumienia i opinii, podać obcemu rządowi pomocnéj dłoni do represyi któregokolwiek, chociażby najwstrętniejszego, wewnętrznego, politycznego stronnictwa.

W dniu 23 rozdawano odezwy powołujące do uroczystości rocznicy grochowskiéj, które potwierdziły wieści, jakie o niéj już dawno krążyły; dnia 25, rano, policya na ulicy Elektoralnéj, schwytała ucznia szkoły sztuk pięknych Ludwika Balcera z chustką pełną tych odezw i przygotowała się do wystąpienia. Kupy śniegu i stragany na Starem mieście uprzątnąć kazała, ażeby nie przeszkadzały działaniu wojska; — pod zamkiem uszykowano działa, ustawiono kozaków i piechotę, w chwili zaś zmierzchu, okazały się większe masy wojska od ulic Trębackiéj i Bielańskiéj. W ogóle użyto dnia tego 1500 piechoty i 600 jazdy. Przygotowania te niewstrzymały manifestacyi, na którą obrano wieczorną porę dla tego, żeby łatwiéj było chronić się przed pogonią, bo odwaga jak późniéj jeszcze niedorosła do bohaterstwa, już téż i dla tego, że wieczorem odbywało się posiedzenie Towarzystwa. Ciekawi gromadzili się o w pół do szóstéj i tłum rósł coraz więcéj, tak, że wkrótce Stare miasto przepełnione było ludem. O w pół do siódméj, po nabożeństwie pasyjném, wyszła od kościoła popaulińskiego procesya bez księży — prowadzili ją młodzieńcy niosący krzyże. Żandarmi i policya pod okiem pułkownika Rozpopowa stojący przy kościele, przepuścili ich bez zaczepki. Na Gołębiéj ulicy z wozu przykrytego płótném pobrali młodzieńcy pochodnie, chorągwie i przedzierając się przez gromady, postępowali ciżbą zasłonięci. Ggy zapalono pochodnie, Karól Nowakowski rozwinął czerwoną chorągiew z białym orłem, inni wznieśli dwie chorągwie z pogonią i intonując „Boże coś Polskę“ weszli na Stare miasto, gdzie już było wielkie zamięszanie z powodu, że lud odbić chciał aresztowanych studentów. Pułkownik Trepów wysiadłszy z powozu, wzywał tłum do rozejścia; rozkaz nie został wysłuchany i rozpoczęło się szarpanie i ubijanie z policyą. Gdy zaś procesya pokazała się na Rynku, wystąpił od ulic Jezuickiéj i św. Jańskiéj, szwadron żandarmów pod komendą majora Żydikowa i przypuścił szarzę na postępujący orszak. Uderzenie było gwałtowne, procesya zasłaniała się i broniła krzyżami, chorągwiami i pochodniami — gdy zaś została rozproszoną, policya chwytała tych co nieśli chorągwie, zaaresztowała najodważniejszego i najszlachetniejszego z téj młodzieży Karóla Nowakowskiego i jego kolegów ze szkoły Sztuk Pięknych: Józefa Turowskiego, Leopolda Cieleskie-



**Pałac Łazienkowski w Warszawie.**

go, Stanisława Szachowskiego, Władysława Krajewskiego, ucznia akademii medycznéj, Ludwika Biernackiego pisarza prywatnego, Józefa Jurkowskiego, Kozłowskiego, Masalskiego i dwudziestu dwóch innych. Żandarmi wdarłszy się w ciżbę rąbali pałaszami, tratowali kopytami koni zgromadzoną ludność, która się ujrzała jakby w matni przez wojsko otoczoną, mając wszystkie ujścia przez ulice św. Jańską, Zapiecek, Dunaj, Gołębią i Jezuicką zamknięte. Obrazów krwawych i strasznych było wiele. Tam ratowano dziecko pobite, gdzie indziéj podnoszono z bruku kobietę pokaleczoną, w innem miejscu wyrywano z rąk moskali wziętych do niewoli, a w inném, mianowicie na Jezuickiéj ulicy jazda przeskakiwała jak przez wał, przez kobiety i dzieci powalone, trącając je ciężkiemi kopytami swoich koni. Pułkownik Trepów był obecnym kilkakrotnym szarżom żandarmeryi i przypatrywał się deptaniu oraz roztrącaniu ludzi. Rynek Starego miasta powoli wreszcie zaczął się wypróżniać, lud chronił się do domów unosząc oburzające wspomnienia okrucieństw i pamięci scen, które ciemność nocy pokryła swoją zasłoną. Opisując uderzenie na bezbronny, ściśnięty tłum ludu i ciężkie pojedyńcze zapasy, rozpowiadano o zabójstwie wielu ludzi, które policya zabrawszy trupów, starała się zataić. Długo wieści o nich krążyły po Warszawie, lecz zdaje się, że prócz śmierci, jakie z potłuczenia późniéj nastąpiły, a z pomiędzy których zachowane zostało nazwisko zmarłéj z ran Matyldy Malta, nikt na miejscu nie poległ. Po rozpędzeniu ludu, wojsko zostało na ulicach i dopiero koło północy z nich ustąpiło — policya zaś łowiła podejrzanych aż do poranka i osadzała ich w więzieniach ratusza lub też odwoziła do cytadeli.

(C. d. n.)

# PODRÓŻ
## DO NOWO ODKRYTYCH KRAIN.

Każdy wiek ma swoją ideę, każda idea ma swoich apostołów i męczenników!

Mam przekonanie, że to zdanie zawiera niezbitą prawdę, prawdę tak ugruntowaną, jak każda matematyczna.

Widzieliśmy w dawno minionych wiekach skromnych apostołów idei i wiary z kijem w ręku puszczających się w świat daleki, do nieznanych ludów, żeby im głosić swoje przekonania. Widzieliśmy, jak ci apostołowie wiary, przekonania, idei, częstokroć za tę ideę ponosili męczeńską śmierć, co wcale innych nie odstraszało pójść za ich przykładem. Widzieliśmy także, jak masy przejęte na wskroś przekonaniem o doskonałości swojéj idei, swego przekonania, swojéj wiary rzucały się z bronią w ręku na sąsiednie narody, i ogniem i mieczem wszczepiały swoje przekonanie w umysł innych.

Nie tu miejsce rozbierać, który z tych sposobów szerzenia swych przekonań jest lepszy, odpowiedniejszy naszemu uczuciu, wreszcie głębiéj wnikający w umysł ludzi. Tu chcieliśmy tylko zwrócić uwagę dla udowodnienia pierwszego założenia, że każdy wiek ma swoją ideę, że każda idea ma swoich apostołów i męczenników.

I nasz wiek nie jest pozbawiony idei, a idee naszego wieku również mają licznych apostołów i męczenników.

Jedną z najważniejszych idei naszego stulecia jest szerzenie i wzbogacanie nauki, i tym dwom spokrewnionym z sobą ideom za naszych czasów poświęciła się wielka liczba znakomitych pod wszelkim względem ludzi.

Wszakże wspomnieć tu tylko potrzebowałbym o sławnym Aleksandrze Humbolcie, żeby od razu wszelkie wątpliwości usunąć, bo to zapewne największy apostoł, jakiego kiedykolwiek miała nauka. Ale mamy jeszcze innych, którzy dotąd może mniéj są głośni z odkryć niżeli z nieszczęść swoich. Przytoczę tylko imię Franklina, który puścił się przed kilkunastu laty w podróż dla zbadania północnego lodowatego morza, i dotąd nie wrócił; który, z wszystkiego co dotąd było można o jego losie dowiedzieć się, zapewne stał się ofiarą pragnienia wiedzy, ofiarą jednéj z najszlachetniejszych namiętności, jakie człowiek mieć może.

Franklin to jeden z wielu. Spis męczenników nauki jak jego imieniem się nie zaczyna, tak i niem się nie kończy. Imiona Bonlau'a (towarzysza Humboldta), Bartha i innych mniéj głośnych, ale nie mniéj zasłużonych prawdę tego pokazują. Barth, Vogel, Livingston za naszych czasów poświęcili się idei szerzenia cywilizacyi i wzbogacenia nauki, a zatem służeniu ludzkości w tém, co jéj w naszych czasach najbardziéj jest potrzebnem, i co ludzkiemu duchowi najbardziéj przystaje.

### I.

Weź czytelniku mapę Afryki do ręki, bo i na niéj śledzić możesz za postępem ludzkości i szukać miejsc do przyszłych działań człowieka.

Na tych to mapach widzimy wkoło stałego lądu — wiele nazwisk miast i osad, lecz im daléj od brzegów morskich w głąb kraju się posuwamy, tém rzadziéj spotykamy miejsca zaludnione, aż wreszcie wzrok nasz zatrzymuje się na ogromnéj, białéj, czystéj przestrzeni — to terra incognita, ziemia nieznana, gdzie, jak nas niegdyś uczono, ludzi nie ma i zwierząt nie ma, bo to przestrzenie leżące blisko równika, gdzie przez cały rok promienie słońca pionowo padając na ziemię, niszczą wszystkie objawy życia natury.

Tak nas uczono! My wierzyliśmy długo słowom nauczycieli, którzy z mapą Afryki w ręku o niezbitéj prawdzie swych słów przekonywali. Mówili mądrze, że tam nic nie ma, bo na mapie musi być wszystko, a kiedy na niéj nic nie ma, to i tam w środkowéj Afryce pustka panować musi. Była to uczona dedukcya.

My też zwyczajni śmiertelnicy tym wywodem się kontentowali, a to tém łatwiéj, że im mniéj jest rzeczy na świecie, tym też mniéj uczyć się potrzeba. Lecz znaleźli się inni ludzie, którzy się nie tak łatwo dali przekonać,

którzy twierdzili, że cała ziemia musi być zamieszkałą, i poszli sprawdzać swoje mniemanie.

Jednym z najnieustraszeńszych badaczy środkowéj Afryki jest Anglik Livingstone, o którym zapewne czytająca publiczność już dawno słyszała. Przypuszczając zatém, że i odkrycia jego z dawniejszych dwudziestu czterech lat są mniéj więcéj znane, postaram się więc tylko streścić jego działalność w ostatnich sześciu latach, w których prawie poszedł w zapomnienie tak, że sądzono iż zginął gdzieś tam w pustyniach.

W 1866 roku Livingstone wyjechał dla nowych badań do środkowéj Afryki i z téj to podróży dotąd nie wrócił. W dwa lata późniéj rozeszła się fałszywa wieść, że go rozbójnicy Mazitu nad jeziorem Njassa zamordowali. Skutkiem téj wieści wysłano za nim expedycyę pod przewodnictwem Yourga, który się przekonał o jéj nieprawdzie, a zarazem doniósł, że wielki badacz Afryki żyje i w pełném zdrowiu się znajduje. Znów nic nie było słychać o Livingstonie do roku 1869, w którym doniósł o odkryciu wielkiego mnóstwa rzek i jezior w stronie południowéj i zachodniéj wielkiego jeziora Tanganijka, oraz dał obszerny opis rozmaitych okolic i krajów. Lecz raport jego był tak obfity, i skutkiem tego może tak niejasny, że nie było podobieństwem zrobić sobie o odkryciach jego dokładnego wyobrażenia, do czego mianowicie się przyczyniło to, że Levingston sądził, iż odkryte przez niego rzeki i jeziora należą do rzecznego systematu Nilu.

Po nowém dwuletniém milczeniu, dowiedziano się wreszcie o nim z raportu angielskiego konsula w Zanzibar co następuje.

Szeryf Baszeik ben Ahmed, ten sam arab, którego wysłano ze Zanzibaru dla dostarczania Livingstonowi sług i zapasów rozmaitych, do Udszydszy nad jeziorem Tanganjika, przybył. Pod dniem 15 Listopada 1870 doniósł on, że go 10 Listopada odwiedził posłaniec z Manama czyli Manyema, który mu wręczył list od „doktora“ (Livingstona), i od którego się dowiedział, że tenże doktor bawi w mieście Manakosa u Muhammeta ben Gharib'a, u którego oczekuje na karawanę; że obecnie jest bez środków i nie ma dostatecznéj liczby towarzyszy, aby mógł się puścić w podróż do Udszydszy.

Daléj donosi Szeryf, że posłał Livingstonowi 12 ludzi z obuwiem, chininą, prochem i innemi zapasami, sam oczekując w Udszydszy dalszych od niego rozkazów. Tak daleko w głąb Afryki, jak Livingston, dotąd żaden inny podróżny nie dotarł.

Teraz, kiedy Czytelnicy już są obeznani z obecném położeniem apostoła nowoczesnych idei, przedstawię im obrazek z jego odkryć, podług opisu innego podróżnego, Edwarda Mohra.

Z tego co wyżéj powiedziałem, widzimy środkową Afrykę zaludnioną, poprzerzynaną licznemi, olbrzymiemi rzekami, bogatą w ogromne jeziora, które przewyższają swą rozległością bajkalskie jezioro, uważane dotąd za największe w świecie.

„W przeszłym roku“, powiada Mohr, „przybyłem do wodospadów — Wiktorya — rzeki Zambery. Te wodospady, zwane przez tamtejszych mieszkańców „Mosiatunya“, są największe swego rodzaju; są one bowiem większe niż wodospad Niagara (w Ameryce) i były odkryte przez Livingstona, a zwiedzane już dotąd przez wielu Anglików. Wrażenie, jakie sprawiają te olbrzymie kaskady, jest nie do opisania. Człowiek do tego stopnia bywa tym widokiem oczarowany, że aż go chęć bierze puścić się z wodą, spadającą ze skały kilka set stóp wysokiéj na inne skały, widocznie od niéj oderwane. Trudno oderwać się od tego niesłychanie wielkiego widoku, który tém bardziéj człowieka zachwyca, że cała przyroda w okolicy jest wielka, olbrzymia.

„Liany, drzewa chlebowe, palmy sięgające sklepienia niebios, tworzą ogromne lasy, przepełnione stadami słoniów, na które dla zdobycia słoniowéj kości mieszkańcy tych okolic odbywają polowania, bo handlarze z innych okolic przybywają po nie. Widzimy, że i tu, w tych odległych, tajemniczych, mało zbadanych stronach świata spekulacya istnieje, i że człowiek tu, jak u nas, uważa się za pana świata, przed którego władzą największy i najmocniejszy zwierz upaść musi. Słonie nawet w tych dzikich okolicach stają się z każdym rokiem rzadszemi i coraz bardziéj w głąb nieprzebytych lasów się cofają.

„Przybyłem do tych wodospadów inną drogą, jak Livingston, która także ma ważne praktyczne znaczenie, gdyż towarzystwo London and Limpopo, które się zawiązało w celu eksploatacyi pól złotodajnych południowéj Afryki, po niéj chce utworzyć komunikacyę handlową ze szczepami murzynów i kafraów nad rzeką Zambezy zamieszkałych.

„Rozpocząłem moją podróż od złotych pól Tati, które odkrył Wirtemberczyk Karol Mauch, a które ku północy od rzeczypospolitéj Transvaal są położone. Do podróży byłem dostatecznie wyposażony. Miałem murzynów, używane w południowéj Afryce wozy zaprzężone wołmi, i dostateczny zapas naukowych narzędzi. Nasamprzód obrałem kierunek północno wschodni przez puszczę porosłą cierniem i rozmaitemi krzakami; potém udałem się w kierunku północnym. Przebyłem kraj Makalokka. Naród tu osiadły jest spokojny, pracowity, skłonny do zamiennego handlu. Jest tu dostatek bydła i płodów rolniczych; mianowicie jest wiele owiec, kóz, rogacizny, kur, żyta, kukurydzy, bobu, dyń, a żyzny grunt i łagodny klimat pozwoliłyby na uprawę wielu innych użytecznych drzew i mniejszych roślin, gdyby ludność ich hodowaniem i uprawą zajmować się chciała. Do tego jednak obecnie jeszcze brak zmysłu w narodzie, a może i potrzeby. Dzikiego miodu znalazłem tu wielką obfitość, a z owoców zwanych „Marual“ wyrabiają kobiety bardzo smaczne wino. Nie brak tu zatém pokarmów.

„Mimo to pochód mój odbywał się powoli. Przeprawiłem się przez rzekę Maytengue, w któréj tylko bywa woda w pewnych peryodach (20° 5′ poł. sz.) i przybyłem do smutnéj równiny, w któréj ani jednego drzewa nie widać. Tu kopią mieszkańcy przez lato sól skrystalizowaną. Wielkie deszcze zatrzymały mnie w dalszym pochodzie do okolic pustych i prawie niezamieszkałych.

„Jednéj nocy włamały się do mego obozu hieny i szakale, i przestraszyły mi cztéry strusie, ptaki cudne, które z wielkiemi trudami wychowałem, a z któremi już przeszło

500 mil morskich podróży odbyłem. Dopiero po upływie 90 dni znalazłem je znowu i one mnie natychmiast poznały. Wróciły one bowiem na miejsce mego obozu, a ztąd buszmani, którzy mnie poznali u Makalakków, przypędzili je do naczelnika Kraala (szczepu). Ja dostałem był te ptaki, kiedy się zaledwie z jajek wykluły, a ponieważ wciąż przy mnie były, nie pokazały nawet śladu bojaźni, która, jak wiadomo, dzikiego strusia charakteryzuje. Z jednym z tych ptaków, wielkim jednorocznym samcem, maszerowałem potém aż do rzeki Potszef, i tu musiałem go podarować, z przyczyny, że obce woły i konie, kiedy takowe spotykałem, jego się lękały, z czego często miałem nieprzyjemności.

„Posuwałem się coraz daléj w kierunku północnym (do 19° 10′ poł. szer.) przez okolice zupełnie niezamieszkałe, i wreszcie musiałem zostowić moje wozy i uprzęże, ponieważ tam istnieją muchy Tsetse, nadzwyczaj dokuczające wołom i koniom. Okolica to smutna, przepełniona piasczystemi pagórkami; nie ma w niéj nawet śladu kamienia. Uważam ją za dno morza, które kiedyś się nad nią pieniło. Dnia 2 Czerwca przybyłem do rzeki Guay, wpadającéj do Zambery, i w niéj widziałem wiele krokodyli i koni nilowych. Towarzysze podróży nie chcieli daléj iść ze mną; brakło nam pożywienia, i dopiero po zabiciu bawoła zgodzili się na dalszą podróż.

„Wreszcie przybyliśmy do rzeki Zambezy, przez którą się przewiózłem z memi towarzyszami. Znowu znaleźliśmy się w zamieszkałych okolicach, w których nie trudno było o pożywienie. Dnia 21 Czerwca, po przebyciu licznych przeszkód i niebezpieczeństw, które moją cierpliwość wystawiły na ciężką próbę, dostaliśmy się do wytkniętego celu, do wodospadów Wiktoryi. Daléj maszerować pod istniejącemi warunkami było niepodobieństwem; murzyni za nic w świecie nie byliby poszli za mną na drugi brzeg rzeki. Odzienie i obuwie było zupełnie podarte, a zapasy żywności i prochu były na schyłku; nawet fizyczne siły były wyczerpnięte. Byłem kontent, że mógłem podziwiać ten wielki cud przyrody!“

(C. d. n.)

## DO MUZYKI.

Na twoich skrzydłach lecę w świat marzenia,
Muzyko! sztuki najcudniejsza perło,
Ty wszechpotężne dzierżysz uczuć berło,
Ty wzlatasz w niebo hymnem uwielbienia!

Rzewna, gdy zadrżysz w piosence słowika,
Czuła, w fujarce gdy samotnie wioniesz,
Cicha, gdy w echu dalekiem utoniesz,
I gdy na stepach płyniesz: tęskno dzika!

Drżą serca struny, gdy twój geniusz biały,
Gwiazdami znaczy przejście swe skrzydlate,
Zwątpienie duszy i serca zapały,
W twoją się cudną przybierają szatę!

Potęgą twego uroczego brzmienia,
Otwierasz bramy rajskich złudzeń światów,
W piersi śpiewaka budzisz rój natchnienia,
Co plecie wieńce nieśmiertelnych kwiatów!

Twoją harmonią dusza upojona,
Wzlata swobodnie w kraje idału,
I tuląc ludzkość w braterskie ramiona,
Rozjaśnia serca iskrami zapału!

Siłą twych tonów granity przebijesz,
Ogniem melodyi topisz twarde lody,
Pieśnią modlitwy do Boga się wzbijasz,
Pieśnią wolności ty wskrzeszasz narody!

U.

## Gry hazardowne, loterye, giełda i spekulacye giełdowe.

(Ciąg dalszy.)

Spotykamy się na giełdzie ze spekulantem, zawiązujemy z nim rozmowę, jakich nie mało téj saméj treści bywało w czasie ostatniéj wojny.

„Ależ na Boga, powiedz mi Pan z jakiego powodu obecnie odnawiają kwestyę wschodnią? Czyż nie dosyć jeszczę téj wojny, téj rzezi bez końca? Od zachodu nas obdzierają i gniotą, czyż nas jeszcze mają i od wschodu deptać i obdzierać? Wszak człowiek na chwilę nie ma spokojności, swobodnie myśleć nawet nie można, lub coś praktycznego rozpocząć.“

„„Ach mój Panie! Teorya i to przewidziała; jak tylko równowaga na zachodzie została zniszczona, jak tylko Francya upadła, Rosya zaprzestała — wyczekiwać i zbierać się — i musiała zrzucić z siebie poniżające warunki pokoju 1856 a wstąpić znów w tór dawnéj, tradycyjnéj swéj polityki. To zaś pójdzie aż do końca, dopóki Pan i koledzy pańscy tylko — spekulować będziecie.““

„No do k..., jeśli tak daléj pójdzie, to wszelka spekulacya ustaje. Przecież ja Moskali nie wołałem; mogliby dla mnie sobie spokojnie siedzieć.“

„„Nie, Moskale sami przyszli, bo oni jak cała Europa spekulują. Pańska bowiem spekulacya na zysk, bez względu na sposoby, przez które go osięgniesz, sprawuje że zachodnie ludy tracą ojczyznę, obojętnieją dla losów narodów i państw; podkopuje ona wszelki moralny związek między ludźmi i robi je dojrzałymi dla kozaczyzny.““

„Chciałbym, byś mi Pan to udowodnił. Czyż nie my kapitał uruchomiliśmy? Czyż nie my otworzyliśmy źródła

ruchomych wartości? Czyż nie my nadaliśmy bogactwu żywszą cyrkulacyą?"

„„Pan nie stworzyłeś ani grosza kapitału, który bez Pana istnieje, bo kapitał jest wypracowanym czystym zyskiem, jest rezultatem ludzkiéj pracy, a jeszcze bardziéj ludzkiéj oszczędności. Pan tylko otwierasz źródło papierów, antycypacyi, które dopiero praca, pot i oszczędność zrealizować mają, a nawet do tego stopnia bierzesz naprzód, że owe trzy czynniki nawet zrozpaczają, nie przewidując możności zrealizowania. Spekulanci nic nie poruszają prócz nadziei na przyszłe bogactwo. Giełda, któréj obowiązkiem byłoby już uorganizowany kredyt wspierać i podtrzymywać, zamieniła się w rodzaj polowania par force za urojonemi wartościami, a całą waszą praktyką jest zręczność zamieniania tych urojonych wartości na rzeczywiste, zanim jeszcze fata morgana imaginacyi w nic się rozpłynie."“

„Otóż wreszcie, mam Pana, gdzie go mieć chciałem. Wszakże zamieniam przez zręczne praktyczne spekulacye papier na rzeczywiste przedmioty, na dobra, wille, kamienice, bale, wina. Z tego mają zarobek architekci, mularze, cieśle, szklarze, malarze, kupcy i tutti quanti. Oglądaj Pan najpyszniejszą ulicę miasta; zkądby się ona była wzięła? Kto ją zapłacił?"

„„Ci, którzy się dali oszukać! Ci właśnie, których fata morgana spekulacyi zaślepiła, i którzy w niéj utkwili, kiedy się przyszło realizować!"“

„Ależ to przy każdym interesie tak; jeden traci, drugi zyskuje."

„„To kłamstwo! Przy każdym uczciwym interesie obie strony wygrywać powinny, gdyż obie strony muszą ważne potrzeby zaspokoić. Zasadą fundamentalną ekonomii społecznéj jest: wartość za wartość, usługa za usługę, czynność za czynność! Każdy inny interes nie jest ekonomiczny, jest szkodliwy tak dla ogółu, jak dla jednostki. Pańska teorya, boć to i Pan masz teoryą, jest przeciwną społeczeństwu, jest zdradą stanu przeciwko niemu."“

„Jak Pan to nazwiesz, że ja mądrzejszy, przebieglejszy niż drugi, jeśli czas i okoliczność wybiorę, jeśli szczęście moje przypuszczenia sprawdza, jedném słowem, jeśli ja dobrze spekulowałem i na téj spekulacyi zarabiam."

„„No to powiem, żeś Pan ani nie kupiec ani też spekulant, ale..."“

„Ale?"

„„Ale gracz, gracz hazardowny najgorszego rodzaju. Zwyczajny szuler ma do czynienia z prywatnym bankierem, którego on rujnuje lub który jego zrujnuje. On na publiczność wpływu nie wywiera. Szkoda tylko prochu kiedy sobie w łeb wypali. Lecz Pan z publicznego zaufania, z kredytu ogółu robisz sobie igraszkę; Pan fałszujesz opinię narodu o sobie samym, ukrywasz przed nim jego środki, wmawiasz w rząd bogactwo lub ubóstwo, które wcale nie istnieje i prowadząc tego zbiorowego człowieka po manowcach, fałszujesz Pan historyą. Wam nawet nic nie znaczy wpłynąć na kurs giełdy, podług waszéj potrzeby, za pomocą fałszywych telegramów, bo państwo, społeczeństwo, moralność, honor i uczciwość, są wam nie znane, o których istnieniu wam ani się nie marzy. Dobro narodu, kultura ludzkości was nic nie obchodzi. Zdradzacie co dzień najwyższe dobro całéj ludzkości, a gotowi jesteście każdego czasu popełnić zdradę stanu dla swego interesu."“

Lecz dosyć tego. Chciałem tylko pokazać wartość moralną i ekonomiczną spekulacyi giełdowéj, która podkopuje moralność, i która jest tém szkodliwszą, że przyodziewać się może maską legalności i pracy społecznéj.

Prawda, że się znajdują ludzie, którzy jak Courtois fils pochwalają agitacyę giełdy, podnoszą pod niebiosa, twierdząc, że ona jest bodźcem do wszelkich wielkich przedsiębierstw; ale my zgadzamy się z Mac-Culloch'em, który powiada, że ta agitacya niszczy prawdziwą działalność człowieka, odwodzi od prawdziwie produktywnych przedsiębierstw, przyzwyczaja go ufać w przypadek, zamiast popychać do czynności i oszczędności. On to bardzo słusznie proponuje, żeby prawo nie przypuszczało skarg o pretensye z takich fikcyjnych zobowiązań wynikających, gdyżby to był najpewniejszy środek dla powstrzymywania ludzi od „kupna na czas i à prime."

Powiadają, że giełda w naszych czasach, to potęga, przed którą się nawet samowola monarchów uginać musi, która zatém nawet państwami rządzi.

Ja — nie mógłem dostrzedz téj potęgi! Co mi to za potęga i siła, która drży na strzał pistoletowy? Co za potęga, która jak mara nocna się ulatnia na słówko wyrzeczone przez Napoleona III lub ministra, który może sam spekulując na podniesienie (hausse) lub obniżenie (baisse) kursu (bo takie rzeczy już bywały), umyślnie wyrzecze magiczne słówko, narażające wielu na straty, a dziesiątki zbogaci?

Giełda jest potęgą, ale tylko dla rządów nie pojmujących swego zadania i swych obowiązków! Język giełdowy, podobny prawie językowi złodziei, wciska się do pojęć narodów i zaraża nawet te klasy, w których jeszcze przechowuje się instynktywnie moralność praojców. Ludzie wyżsi umysłem nawet już z trudnością rozróżniają pojęcia „kapitał" i „pieniądz" i tracą jasne wyobrażenia o zdrowym „rządzie pieniężnym". Mirésy, Pereirowie, Stroussbergi jak grzyby wyrastają pod protekcyą praw, a przy takiem położeniu rzeczy żaden naród nie będzie w stanie oprzeć się tym moralnym i umysłowym pasożytom.

Lecz miejmy nadzieję, że narody się ockną, że je upadek Francyi przebudzi z letargu, upadek tego kraju, którego rząd, w celu zdemoralizowania narodu, prócz innych środków i spekulacyi giełdowych używał, wiedząc dobrze, że naród uginający się pod złotym cielcem nie jest zdolny domagać się politycznych swobód. Uginanie się przed giełdą, drzenie przed nią ustać wreszcie powinno, gdyżby inaczéj do tego przyjść musiało, że się kapitał ugnie przed komuną, Liebknechtami i Bebelami.

(Dokończ. nast.)

# PAŁAC ŁAZIENKOWSKI W WARSZAWIE.

(Z ryciną.)

Łazienki biorą swoje nazwisko od łaźni, która tutaj w dobrach ujazdowskich znajdowała się od niepamiętnych czasów, obok zwierzyńca ogrodu i pałacu, jako prywatnéj własności książąt mazowieckich. Pałac wznosił się wspaniale na górze, łazienka i zwierzyniec leżały u spodku góry. W różne ręce potém przechodziła cała majętność; ostatnio dzierżawili ją od Lubomirskich królowie z saskiego domu. Łazienka czyli łaźnia naturalnie podrzędną ciągle odgrywała rolę w Ujazdowie i dopiero Stanisław August stworzył jéj świetność, nazwiskiem nawet odróżnił. Dzisiaj Łazienki nie są w Ujazdowie, ale obok Ujazdowa, któremu odebrały pierwszeństwo.

Stanisław August, kiedy przed samą swoją elekcyą kupił od Lubomirskich ziemie ujazdowskie, myślał pierwiastkowo przebudować zamek, tylą wypadkami historycznemi upamiętniony, na letnie dla siebie pomieszkanie. Ale prędko zniechęcił się dla Ujazdowa, bo pomimo najszczerszéj chęci, niczego stanowczo dokazać sam niepotrafił. Wpływało na to wiele okoliczności i mury stare i chimery królewskie. Chciał Stanisław August cacko zrobić ze swego letniego pomieszkania, drugi Wilanów, któryby, jak pierwszy, był historycznym, a nowemi ku sobie i królewskiemi pociągał pamiątkami. Ciągle więc kreślił plany, zmieniał zamiary i wszystko co było najpiękniejszego za granicą tutaj do Ujazdowa chciał przenieść. Raz wraz przebijano stare mury, raz wraz któraś elegancka wielkiego świata pani, świeżo co powróciwszy z zagranicy, rozpowiadała dziwy to o pałacach monarszych, to o willach włoskich i zamkach i poddawała myśli królowi, że to a to wartoby jeszcze zrobić, że tego a tego braknie do majestatyczności pałacu. Król młody i zalotny stósował się często do chimer i zachęt kobiecych; więc na nowo pokoje, chociaż już zupełnie ukończzne, kazał przerabiać, dostawiał pawilony i plany rozbierał z budowniczemi. Wreszcie skończyło się na tém, że stracił moc pieniędzy i rzucił Ujazdów, bo mu ktoś doradził przerabiać na swój ład Łazienki, jako daleko wdzięczniejsze zadanie, zwłaszcza że park i ogrody były pod bokiem. Uchwycił się król gorączkowo téj myśli i odtąd przez całe swoje panowanie buduje, stroi, jak jaka kokietka, ozdabia i złoci lasek i pałac, wreszcie różnemi uroczystościami upamiętnia w dziejach swoje ukochane, najukochańsze Łazienki.

Było i tutaj jeszcze wiele kłopotu; ale chęć szczera przezwyciężyła trudności. Król zwołał swoich budowniczych i udał się na radę; poczém zaraz wygotowali i przedstawili mu plany, Dominik Merlini i Antoni Fontanna. Miejsce to w którem była królewska łazienka w Ujazdowie, ogromnie podówczas opustoszało i podupadło; kanały i sadzawki, zarosłe dzikiem wodnem kwieciem i pleśnią, przedstawiały obraz istnego zapuszczenia i nędzy. Nikt się téż o utrzymanie jego nie troszczył, a najmniéj król August III, który zawsze gościem bawił w Polsce, a podróżującemu panu dosyć było pałacu w mieście, bo i kupno czy dzierżawa saskiéj kępy była bez celu. Ogród i park ujazdowski służył więc za tego króla za pastwisko dla hodowanych tam zwierząt; zresztą był to las bagnisty, wysadzony olchami. Pod samą stolicą nikt się zapewne niespodziewał znaleść takiéj pustki, w jakiéj była ta cała zarosła lasem okolica. Dla dobitniejszego odmalowania stanu jéj dzikości dodamy, że kaczki dzikie zbierały się tutaj na bagnach, jakby w ostępach leśnych i swobodnie ulatywały podad wodami. Przy jednéj z tych sadzawek stała dawna, bo jeszcze z czasów Lubomirskich pochodząca budowla, a w niéj owa łaźnia, stinkiem i małziami zdobna, która miejscu temu nadawała nazwisko.

Szło się do niéj przez kilka pokojów. W téj budowli latem niegdyś wspaniałe wyprawiano wieczory, które potem opisywała i sławiła Gazeta Warszawska. W ogóle panowie lubili dosyć to odludne miejsce, ognie sztuszne tutaj zapalali i lasek rzęsistem światłem nieraz rozjaśniali; była nawet jakiś czas moda na wycieczki do Łazienek ujazdowskich. Korzystał z tego strzelec czy łowczy dworski Montresor i zamieszkawszy w małym domku obok Łazienek, otworzył kawiarnią, a potém i jadalnią dla wygody gości, i tak powoli zarabiał sobie pieniądze.

Ale na początku 1767 r. król Stanisław przerwał cichość tego ustronia. Najprzód postanowił oczyścić powietrze Łazinek i usunąć wyziewy z bagien i wód stojących w zapleśniałych kanałach. Trudna to rzecz była i rok za rokiem schodził, bo napróżno próbowano rozmaitych sposobów; wody świeżéj jak niebyło tak nie było. Król się zapalał teraz tak samo do Łazienek jak wprzód do Ujazdowa. Była chwila nawet że zwątpił o swojém przedsięwzięciu. Ledwie po kilkunastu latach usiłowań potrafili inżynierowie skierować do parku łazienkowskiego strumień wody z pod Rokowca, z którym połączyli drugi płynący prosto z Szopów, t. j. ze wsi klasztornéj księży karmelitów bosych, a wtedy okolica odżyła powietrzem zdrowem i świeżem. Wyrąbano więc wszystkie stare a spruchniałe olchy i zasadzono na to miejsce w lasku drzewo iglaste sosnowe rozmaitego rodzaju. Park cały podzielono na kwatery, klomby i aleje powstawały na skinienie ręki królewskiéj. Pokopano stawy i sadzawki w nowych miejscach, na nizkie nawieziono ziemi, żeby je podnieść, usunięto wilgoć, powyrębywano w pośród drzew ulice i aleje do przechadzki i wygody. Dla otwarcia pięknych i na okolicę widoków, król kazał powycinać w lasku ulice na Mokotów, Czerniaków i Willanów. Pokazała się niedługo potrzeba rozszerzenia samego zakresu Łazienek, a gdy na ten cel wybornie posłużyć mogła część poblizkiego Solca, wszedł król w układy z magistratem staréj Warszawy i miastu, za niewiele gruntu Łazienkom przyległego, odstąpił na własność wszelkich praw

swoich, jakie miał do dwóch dziedzicznych juryzdykcyi w stolicy, t. j. do Maryensztadu i Stanisławowa (układy od 10 Marca do 7 Maja 1781). Cała ta nowo nabyta okolica, zaokrąglająca Łazienki, musiała przybrać na siebie stósowny charakter: więc zarosła też drzewem. Tak w jednéj chwili całe opuszczone to miejsce zamieniło się w park rozkoszny, prawdziwie królewski, jakiego stolicy polskiéj dotąd niedostawało. (C. d. n.)

## Zagadka.

Tam idąc bije, wracając bierze;
Tam idąc człowiek, wracając zwierze.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 39: *Opowiadanie.*)

## Korespondencye Redakcyi.

Panu Amborskiemu: List i fotografię otrzymaliśmy — oczekujemy teraz na łaskawie przyobiecany opis. — Panu N. N. autorowi szarady: Może później zamieścimy. — Panu Sabowskiemu w Krakowie: Przesyłka musiała już dojść rąk Jego. Oczekujemy na dalsze prace.

## Zbiór powieści J. I. Kraszewskiego.

Pisarze znakomici, żyjący wśród narodów, które umieją czcić talent, pracę rzetelną i zasługę prawdziwą, mają prawo żądać, aby jeszcze za ich życia społeczeństwo zajęło się zbiorowem wydaniem wszystkich ich utworów. Podobne edycye są z jednéj strony hołdem moralnym, złożonym tym, którzy dla braci swoich pracują bez wytchnienia w ciernistym zawodzie literackim, a z drugiéj strony skarbem dla pokolenia umiejącego czuć i myśleć. Anglicy, Niemcy i Francuzi, przodujący w całym ruchu umysłowym, zaczęli w ostatnich czasach ogłaszać zbiorowe wydania dzieł wszystkich znakomitych autorów współczesnych, a przyjęcie, jakiego te edycye doczekały się w publiczności, świadczy najlepiéj o właściwości tego pomysłu. Czytelnicy zrozumieli tam, że wydania dokonywane pod okiem autorów żyjących, mają niezaprzeczoną wyższość przed pośmiertnemi, pisarz bowiem może swoje dzieła przejrzeć, poprawić i uporządkować. Chcąc i u nas dać w tym względzie przykład dobry i innych zachęcić, *rozpoczynamy z dniem 1 Października r. 1871 zupełną i tanią edycyę powieści najznakamitszego naszego powieściopisarza Józefa Ignacego Kraszewskiego. Będzie to wydanie przejrzane, poprawione, uporządkowane przez Autora i ozdobione jego portretem.*

Z rokiem 1871, upływa *właśnie lat 40*, odkąd imie J. I. Kraszewskiego stało się własnością kraju całego. Żaden z naszych powieściopisarzy nie poszczyci się takim rozgłosem i wzięciem, bo też i zasługi żadnego nie były tak wielkie. Podczas gdy wielu z nich pisało li dla sztuki, a niektórzy ośmielali się nawet pod ponętną formą zewnętrzną lać w serca truciznę moralną, J. I. Kraszewski nie opuścił ani na chwilę sztandaru moralności narodowéj i od lat 40 zasiewa zdrowe ziarna uczuć i myśli. Kto nauczył nas czytać po polsku? kto wychował całe pokolenie teraźniejsze? Kraszewski... Nie jest to pochwała, ale naga prawda, którą przyznali nie tylko polscy krytycy, ale i zagraniczni.

Pod względem sztuki J. I. Kraszewski dopełnił także wszystkich warunków. Maluje on charaktery z siłą mistrzowską, naciągniętych sytuacyi nie znajdziemy w nim nigdzie, a styl jego będzie dla nas zawsze wzorem jędrności, wdzięku i poprawności. Najlepszym dowodem jak znakomite są jego powieści, jest to, że większa ich połowa została przełożona na języki: rosyjski, czeski, serbski — a wiele nawet na francuzki, włoski i holenderski. Żaden powieściopisarz polski nie doczekał się za granicą takiego przyjęcia.

Główna siła i zasługa J. I. Kraszewskiego polega w tém, że w pracach swoich był jak najmniéj sobą, starając się przedewszystkiem odbić, odczuć i przedstawić to co go otaczało i być sumiennym historykiem swego kraju. Nikt nie zaprzeczy, że mu się to znakomicie powiodło. Chociaż wiele innych prac jego wyszło w różnych rodzajach — głównie wszakże wpływ swój oparł na formie powieściowéj, jako najlepiéj przemawiającéj do ogółu i jako na formie naszemu wiekowi właściwéj. W powieściach tych wszystkie niemal kwestye społeczne, w miarę jak je kraj odczuwał, są ujęte i przedstawione — i dla tego tworzą one historyę żywą naszych walk, trudów i zajęć, tak — że nawet chwila, gdy filozofia niemiecka głównie umysły zaprzątała, odbija się n. p. w *Tomku Prawdzicu.* Nie tracą one interesu i dzisiaj, gdyż większa część tych zagadnień pozostała nierozwiązaną i do téj chwili wyrabia się w łonie naszem. Od r. 1831 do 1871 można w nich także odczytać historyę smaku i pojęć naszych — wszystkich zadań społecznych i obyczajów.

Jakkolwiek niektóre z powieści J. I. Kraszewskiego rozeszły się w dwóch i trzech wydaniach, są one jeszcze mało znane szerszym kołom, bo najpierw były bardzo drogie, a powtóre nigdy ich nie odbijano w znaczniejszéj liczbie egzemplarzy — i dziś stały się tak rzadkiemi, że ich nawet w handlu antykwarskim znaleść nie można. Śmiało zaś zaręczyć możemy, że znaczna ich część będzie w Galicyi i W. Ks. Poznańskiem prawdziwą nowością. Drukowano je w Wilnie, Warszawie, Petersburgu, Poznaniu, Lwowie, Krakowie i wielu innych miastach, skutkiem czego rozchodziły się głównie w pewnych prowincyach tylko, stósownie do ogniska, z którego płynęły. Dziś podajemy je w bardzo pięknéj i taniéj edycyi zbiorowéj, ufając, że prace pisarza tak znakomitego i myśliciela głębokiego, znajdować się będą odtąd w każdéj polskiéj rodzinie.

Powieści J. I. Kraszewskiego dzielimy na dwa okresy. Pierwszy sięga od r. 1831 do 1862, a dzieła, które w nim wyszły, są już prawie wszystkie wyczerpane; okres drugi następuje po r. 1863. Publikacyę rozpoczynamy od okresu Igo, i dopiero po wydaniu wszystkich powieści ogłoszonych drukiem po r. 1862 — przystąpimy do okresu IIgo.

Gdy przed pół rokiem pisma krajowe doniosły o gotującem się wydaniu powieści J. I. Kraszewskiego, otrzymaliśmy w przeciągu kilku tygodni z saméj Galicyi przeszło 500 listów z serdecznem staropolskiem: „Szczęść Boże!“ Ośmieleni takiem przyjęciem, rozpisujemy z dniem dzisiejszym przedpłatę, prosząc wszystkich przyjaciół piśmiennictwa narodowego, aby wedle sił wesprzeć nas raczyli. Szczególnie zwracamy się do naszych Pań, od których poparcia zależy u nas powodzenie każdéj pracy literackiéj, aby przyczyniły się do utrzymania publikacyi utworów pisarza, który od lat 40 czci i podnosi serce kobiety.

Z naszéj strony ręczymy za wydanie bardzo staranne i dopełnienie wszytkich warunków, jakie przyjęliśmy na siebie. Publikacyę rozpoczynamy od *Dwóch Światów.* Potem nastąpią: *Chata za wsią; Poeta i Świat; Latarnia czarnoksięska; Stary sługa; Historya o bladéj dziewczynie z pod Ostréj Bramy; Całe życie biedna; Ulana; Pamiętniki nieznajomego; Budnik; Ostatni z Siekierzyńskich; Ostrożnie z ogniem; Komedyanci; Dziwadła; Ładowa Pieczara; Złote jabłko; Interesa familijne; Djabeł; Powieść bez tytułu; Jermoła; Zygmuntowskie czasy; Kordecki; Milion posagu; Ostatni z książąt Słuckich; Żacy krakowscy i t. d.*

Lwów, we Wrześniu 1871 r.

**Wydawcy.**

**Przedpłata w W. Ks. Poznańskiem wynosi:**

Rocznie 8 tal., półrocznie 4 tal., ćwierćrocznie 2 tal.

**Dla abonujących Sobótkę po cenie zniżonéj:**

Rocznie 6 tal. 10 sgr., półrocznie 3 tal. 5 sgr., ćwierćrocznie 1 tal. 17 sgr. 6 fen.

Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie — skład główny w W. Ks. Poznańskiém i Prusach w księgarni **M. Leitgebra i Spółki.**

## PODRĘCZNA
# ENCYKLOPEDYA POWSZECHNA
**w dwóch wielkich tomach z atlasem.**

Dążeniem naszego wieku jest popularyzacya wiedzy, a jednym ze środków ku temu — są Encyklopedye, przedstawiające zupełny i wszechstronny obraz wiadomości ludzkich. Ale kiedy zazwyczaj zbiorowe te dzieła starają się traktować naukę najobszerniéj, my bierzemy sobie za cel naszego zadania dać także ile można najwięcéj — ale krótko i treściwie.

Wszakże nie każdy i nie zawsze może i chce szperać w wielutomowych dziełach, odczytywać kilkunasto-stronnicowe artykuły, dla znalezienia jakiéj pobieżnéj wiadomości, jakiegoś nazwiska, pojęcia, obcego wyrazu, wypadku, daty, cyfry lub mniéj znaczącego faktu, już to przy czytaniu pism peryodycznych, książek, już w czasie potocznéj rozmowy, dla poparcia poglądów, pism i t. p. — zgoła dla dopomożenia natychmiast pamięci lub zapełnienia przerwy skutkiem czasu zrządzonéj.

Lecz Encyklopedyi takiéj brakuje dotąd naszemu piśmiennictwu i niedostatkowi temu pragniemy zaradzić.

W tym celu wykonany nasz Dykcyonarz encyklopedyczny — ową w skróceniu wiedzę ludzką — podajemy Czytelnikom, aby na rzut oka wszystko znaleźć i we wszystkiem objaśnić się mogli.

Dwa tomy w 8vo dużego formatu, około 120 arkuszy obejmujące ścisłego druku, zajmujące mało miejsca na każdym stoliczku obok kałamarza, zdołają każde żądanie zaspokoić, objaśnić, na każde zasadnicze pytanie odpowiedzieć, wątpliwość rozwiązać, każdy spór rozstrzygnąć i we wszelkiéj potrzebie usłużyć. Dzieło to postaramy się tak wykonać, aby w każdym domu stało się nieodzownie potrzebniejszém, niż wszelka inna książka.

Aby tego dopiąć, podręczna Encyklopedya powszechna oprócz ogólnéj wiedzy, zawierać będzie artykuły dotyczące n. p. ziemioznawstwa, opisu krajów, historyi ludów, ich literatury, sztuk, zamożności, stósunków wzajemnych, urządzeń społecznych, zgoła wszystko co tylko może służyć za przewodnika, co ułatwi kierowanie się, oraz wynalezienie na prędce żądanéj wiadomości.

Robiemy tu jeszcze uwagę, że żaden przedmiot nie jest w tym podręczniku pominięty, wszystko co się dotyczy wiedzy ludzkiéj będzie tam zamieszczone. Artykuły z nauk przyrodniczych jak można najobszerniéj będą traktowane, zwłaszcza ile te ogólne zastósowanie znalazły n. p. w handlu, rękodziełach, rólnictwie i naukach ścisłych. Ze szczególną troskliwością opracowane są życiorysy, historya, ziemioznawstwo (geografia) i państwowy stan krajów. Z techniki i rzemiosł, objaśniono wszystkie szczegóły według popularnéj terminologii, wyrazy z obcych narzeczy wzięte również zostały wytłómaczone, wraz ze sposobem jak się powinny wymawiać.

Kreśląc tak śmiały program, aby niewydał się przesądą, wyjaśniamy, iż za materyał posłużyło nam podobne dzieło w języku niemieckim obecnie wychodzące p.t. „Meyers Hand-Lexikon des allgemeinen Wissens“, tudzież Bouilleta obie podręczne encyklopedye, prócz mnóstwa zbiorów i dzieł specyalnych. Naturalnie, iż najobszerniéj traktowane będą przedmiota polskie i słowiańskie, ku czemu wytężymy wszelkie usiłowania i ku czemu współdziałanie wielu literatów polskich mamy przyrzeczone.

Dla dokładniejszego zrozumienia wielu przedmiotów, niż to mogą dać choćby najobszerniejsze opisy, służyć będą drzeworyty i tablice, a zwłaszcza mapy, które do naszego dzieła dołączymy, a mianowicie:

1. Karta nieba na pókuli północnéj.
2. System planetarny.
3. Geologiczne przecięcie ziemi (idealne).
4. Karta klimatologiczna ziemi (temperatura, deszcze, wiatry, przypływ morza i t. d.)
5. Karta pasów kruszcowych na ziemi.
6. Karta stref roślinnych.
7. Karta rozłożenia pożytecznych i szkodliwych zwierząt.
8. Karta pasów urodzajnéj ziemi.
9. Karta zaludnienia.
10. Kazta zaludnienia według ras.
11. Karta mieszkańców ziemi według języków.
12. Karta mieszkańców ziemi według wyznań.

Ażeby dołączenie kart dotyczących geografii politycznéj i historycznéj było możliwém, potrzeba tylko szczerego współudziału publiczności.

Dzieło to tak ważne i użyteczne, postanawiamy ofiarować jako premium wszystkim stałym abonentom Sobótki od 1 Lipca 1871 r. po cenie **tylko 5 talarów za egzemplarz z atlasem**, nie abonujący Sobótkę zapłacą za komplet bez atlasu 8 tal. 10 sgr.

Odwołujemy się więc do ludzi oświeconych i do szukających oświaty, odwołujemy się i do mężczyzn i do niewiast z prośbą o rozpowszechnienie wiadomości o naszem wydawnictwie i jego warunkach. Spieszmy pokazać Czytelnicy, że solidarność w uczciwych i ogół obchodzących sprawach istnieje u nas jeszcze!

Encyklopedya jako dodatek do Sobótki, wychodzić zacznie od 1 Października r. b. i przesyłaną będzie prenumeratorom w zeszytach co miesiąc, za opłatą 18 sgr. co kwartał. Prenumerata na całość z atlasem z 120 arkuszy złożoną wynosi 5 tal. Za każdy zeszyt miesięczny z przesyłką 6 sgr., przesyłając najmniéj na 3 zeszyty z odnowieniem prenumeraty przed wydaniem każdego trzeciego zeszytu.

**M. Leitgeber i Spółka,**
Wydawnictwo Sobótki.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).